

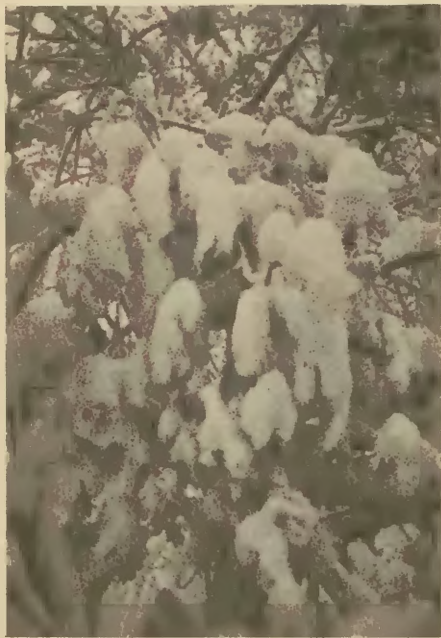
GORĄCE SERCA



ORGAN SAMORZĄDU SZKOLNEGO
UCZNIÓW GIMNAZJUM IMIENIA JANA ZAMOYSKIEGO W WARSZAWIE

POD HASŁEM:

**GORĄCE SERCA
ZWALCZYŁY MRÓZ**



Z I M A

Zbliżają się Święta Wielkanocne.

Już za kilka dni będziemy brali udział w wielkich uroczystościach kościelnych Zmartwychwstania.

Jest to święto nasze.

Wysłuchani w stare melodie wielkanocnych pie-

śni kościelnych, śpiewanych przez naszych przodków od lat kilkuset, odnajdziemy w sobie serdeczne więzy, które nas łączą z naszą polską i łacińską przeszłością, nas, młode pokolenie, z szeregiem pokoleń starych.

Chrystus zmartwychwstał jest — Resurrexit sicut dixit.

O D Y S K U S J I

Zdziwiłem się niezmiernie, gdy mnie jeden z członków komitetu redakcyjnego prosić począł gorąco o napisanie jakiegoś artykułu dla „Życia Szkoły”. Pismo to cierpieć ma podobno w tym okresie na brak materiału.

Słowa te zrodziły we mnie pewne refleksje, którymi na łamach tego pisma chciałbym się ze wszystkimi podzielić. „Życie Szkoły”, jak to sama nazwa wskazuje, miało być zapewne w intencjach swych założycieli jakby wykładnikiem życia gromady szkolnej, miało być świadectwem dorobku umysłowego i duchowego tej gromady, dzieckiem jej pracy. Było więc „Życie Szkoły” polem dla rozwoju naszej pracy twórczej, pracy samokształceniowej itd., jakby bazą operacyjną, w której się ściierały nasze poglądy, idee, myśli, tworząc żywy nurt treściowy i ideowy tego organu. Jego zadaniem było więc być kuźnią intelektów.

Niestety, niezawsze to piękne zadanie znajdowało pełną realizację. Niewszyscy kwapili się do spółdziałania w rozwoju pisma. Często jakby lipcowy marazm kołysał gromadą czytelniczą słodkawym rozleniwieniem. Nie przelewało się czasem w redakcji od zbytku materiału.

Sądzę, że kierownictwo pisma musi ożywić „myśl” szkoły przez pomysłowe rzucenie pasjonującego tematu lub zagadnienia, które porwie bez wyjątku wszystkich, każe każdemu chwycić za pióro, by wypowiedzieć swe zdanie w danej kwestii. A więc prowokacja dyskusji. Tak! Troskliwa, pieczołowita kultura dyskusji.

Dyskusja jest, według mnie, najbardziej twórczą formą umysłowego rozwoju. Wymiana poglądów, starcia myślowe, obfitują w najbardziej pozytywne i trwałe wartości dla rozwoju intelektualnego jednostki. Przede wszystkim wysubtelnia dyskusja „krytycyzm” (tylko, na miłość Boga, nie utożsamiajmy go z zawiętym polowaniem na wszelkie braki i usterki — ten instynkt mamy aż zbyt wysubtelniony), wytrąca z zasklepienia się w ciasnym kręgu apodyktycznych sądów i wniosków, zmusza do ścisłej kontroli nad rezultatami swej pracy, urabia pewną dyscyplinę rozumowania, uczy

sztuki myślenia i wdrażania myśli w pewne karby słowne. W tym miejscu, gwoli upamiętnienia, powtórzę znany komunał. Zdawałoby się na pozór, że myślenie jest aktem tak nieskomplikowanym i łatwym. Złudzenie to wypływa z błędnego ujmowania tego pojęcia. Identyfikujemy myślenie z prostym odbieraniem wrażeń i ich ściślejszym nieco formułowaniem. Myślenie jest sztuką, sztuką trudną i wymagającą pewnego talentu.

Rozwija więc dyskusja zasoby argumentacji, zdolność prędkiego kojarzenia pewnych faktów czy wyobrażeń i ich precyzyjnego oddania. Oddziaływa na te przymioty dyskusja wprost podświadomie przez swój nerw walki. Ciekawe i żywotne zagadnienie porywa umysły, zabarwia nasze myślenie jakimś pierwiastkiem bojowym. Z zajądlnością, wprost z rozkoszą kontrujemy, dowodzimy, stawiamy nowe tezy, wysuwamy ciekawe wnioski. W tej pracy biorą udział wszystkie władze naszego intelektu, jest ona dla nich doskonałą zaprawą wyszkoleniową, zmusza do wydobywania maksimum wysiłku, sprężystości myśli, rozszerza i zarazem pogłębia horyzonty umysłowe.

Jedno tkwi tylko w tym całym zagadnieniu niebezpieczeństwo. Jest dyskusja, jak wiele z czynników oddziaływania kulturalnego, formą b. elastyczną, rozciąglą. Może doprowadzić również do bardzo ujemnych rezultatów — siać zwyrodnienie myśli. Wszystko zależy od jej przedmiotu i jednostek, biorących udział w tej grze dyskusyjnej. Temat dyskusji musi mieć przepiękną dojrzałość i powszechnie budzącą zainteresowanie treść (dobrze by było, gdyby tętnił echem aktualności).

Gdy będzie nim nieistotny, czysto retoryczny ogólnik, dyskusja łatwo może zejść na rozdroża gadulstwa dialektycznego, błyskotliwego szermowania słowem — może wyjałowić. Także dysputujący muszą stać na odpowiednim poziomie intelektualnym w stosunku do danego zagadnienia, muszą znać ciężar gatunkowy swego słowa. Trzeba się ustosunkować do dyskusji nie jako do sporu dla sporu samego, jako nie do miłej okazji do wyładowania swego nadmiernego temperamentu, złości i krzepkiego

zacierzawienia, ale jak do wartościowego przeżycia kulturalnego. Nie chodzi tu o zwycięstwo lub porażkę tego lub innego stanowiska, chodzi o sam fakt istnienia pewnego sporu ideowego czy myślowego, który zawsze wywiera dodatni wpływ na kulturę intelektualną.

Nawet założenie, przez większość odparte i potępione, ma pewną siłę promieniującą, zmusza do opracowania związanych z nim zagadnień i nigdy prawie nie zostaje całkowicie podważone lub ubezwartościowane, zawsze pozostawia pewne wątpliwości, niedomówienia, wciąż absorbuje swą względnością.

W ogniu polemiki krystalizują się indywidualne postawy intelektów wobec niektórych zjawisk z dziedzin życia, nauki i t. p.

Czerstwieją i hartują się indywidualne kierunki, poglądy, wyodrębniają się lub zespalają z duchem grupy. W związku z tą „indywidualizacją” poglądów jedna uwaga. Nie obawiajmy się szablonów prawomyślności, tradycji utartych prawd i haseł. Piszmy tak, jak czujemy, bez trwożliwego oglądania się na czyjeś autorytety, przemożne powagi. Pismo jest nasze, umieszczajmy w nim więc nasze, własne poglądy i idee (proszę tylko tego nie identyfikować z „leceniem” na oryginalność — świadome sile nie się na oryginalność to b. zabawny objaw).

Ktoś może się zapytać, dlaczego tak specjalnie wysławiam dyskusję „pisaną”, czyż zaprzeczam znaczeniu żywego słowa.

Ponieważ nie widzę na terenie szkoły żadnych specjalnych stowarzyszeń kulturalnych, a nie wierzę w szerszą wartość polemik lekcyjnych, ponieważ ramy ich są narzucone przez program, a przebieg ściśle nadzorowany przez nauczyciela i często w najważniejszych momentach kurczony przez szkolne deus ex machina — dzwonek, więc nie mogę znaleźć lepszej przystani dla debat dyskusyjnych nad pismo szkolne.

Zresztą, piszący czuje zawsze większą odpowiedzialność za swe słowa, niż mówca, dyskusja na łamach pisma nie popadnie nigdy w bezład treściowy, czując się wystawioną pod kryterium czytającego ogółu.

Prawdziwa, twórcza dyskusja napewno zapełni szpalty „Życia Szkoły” zdrowym i owocnym posiewem myśli.

A więc po odnowieniu kontaktu ze swymi mózgami należy przedstawić się redakcji, nawiązać z nią współpracę i zasilać pismo jak największą ilością artykułów dyskusyjnych.

Im prędzej, tym lepiej!

A. Więckowski (VII).

Przypisek od Redakcji. Drukujemy uwagi kol. Więckowskiego, widząc w nich nawiązanie do ustalonej już dyskusyjno-polemicznej tradycji „Życia Szkoły”, o której autor wyraźnie wspomina na początku swego artykułu.

IMPRESJE Z III-go MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU IM. FRYDERYKA SZOPENA SUKCES NASZEGO KOLEGI

W piątek 2.III b. r. zakończył się III-ci Międzynarodowy Konkurs im. Fr. Szopena. Konkursy te odbywają się co pięć lat pod wysokim protektoratem Pana Prezydenta Rzplitej. Dziesięć lat upływa od chwili, kiedy dzięki inicjatywie prof. Żurawlewa rozegrał się w Warszawie I Międzynarodowy Konkurs Fr. Szopena. Zgromadził on 30 pianistów i pianistek z dziewięciu państw europejskich, wśród których przyszłym laureatem był Jan Oborin (Z.S.R.R.). Konkurs ten do tego stopnia zainteresował Polskę i zagranicę, że II-gi Międzynarodowy Konkurs im. Fr. Szopena zgromadził już 80 pianistów obojga płci, reprezentujących 18 państw całego świata. Zwycięzcą został p. A. Uniński (Em. ros.), przed Ungarem (Węgry) i Konem (Polska).

Do tegorocznego Konkursu zgłosiło się 250 kandydatów, z których dopuszczono 105, reprezentujących 22 państwa europejskich i pozaeuropejskich. Jak widzimy, postęp wręcz niebывały.

Cel, zainteresowanie tym konkursem świata muzycznego, został w pełni osiągnięty. Co do popularyzacji muzyki Szopena wśród szerokich mas, należy stwierdzić z całą stanowczością, że

przeszła ona najsmielsze oczekiwania organizatorów konkursu. Wielu, przedtem nie zajmujących się muzyką ludzi, dzięki przebogatej, przepięknej, prawdziwie polskiej muzyce Szopena stało się obywatelami jednego z najpiękniejszych królestw sztuki, jakim jest niewątpliwie królestwo muzyki.

Muzyka w dobrze pojętym znaczeniu uszlachetnia ludzi; harmonia i szlachetna rywalizacja, jaka zapanowała między uczestnikami konkursu, będącymi obywatelami najrozmaitszych pod względem struktury wewnętrznej państw, jest bez wątpienia wielką zdobyczą Międzynarodowego Konkursu Szopena.

Poziom artystyczny ostatniego Konkursu był nieco niższy od poprzedniego, mimo to jednak stał na dostat. poziomie. Z ekip zagranicznych najlepszą była rosyjska, do której należy dwoje pierwszych laureatów: p. Zak Jakow oraz młodziutka 16-letnia Rosa Tamarkina.

Jak widać z wyników 3-ch dotychczasowych konkursów, Rosjanie są nadal bezkonkurencyjni pod względem technicznego wykonania utworów muzycznych. Na drugim miejscu należy

postawić Polaków wraz z Węgrami i Francuzami. Indywidualnie lepszymi okazali się Polacy.

Jednym z powodów większego zainteresowania się naszych kolegów Konkursem był występ w nim i zajęcie 3-go miejsca przez wychowanka gimnazjum Witolda Małcużyńskiego, który w sposób doskonały i brawurowy wykonał swój program. Sukces ten w pełni zasłużony zawdzięcza on wielkim zdolnościom i żmudnej pracy. Myślimy, że Witek Małcużyński nie zapomni o naszej szkole i wystąpi w niej, przypominając

nam dawne czasy, gdy mieliśmy możliwość słuchania jego muzyki. W każdym razie całe nasze gimnazjum dumne jest ze swego starszego kolegi.

Minęły już gorące dni finałów, zamilkły echa potężnej muzyki Szopena, a jednak żyje ona ciągle w sercach i duszach tych, którzy mieli możliwość ją słyszeć.

Myślimy, że na przyszłym konkursie znajdzie się więcej uczniów naszej szkoły, którzy chyba nie opuszczą okazji wysłuchania w najlepszym wykonaniu największego polskiego kompozytora.

J. Nos.-S. Wit. (IVa).

SEN JĘDRUSIA

Historia straszna, lecz prawdziwa.

Mam przyjaciela, imieniem Jędrus, nazwiska wam nie powiem, albowiem historia, którą tu powtarzam, dotyczy przeżyć zupełnie osobistych. Lecz mimo to muszę się nią z wami podzielić, drodzy Czytelnicy, byście wiedzieli, do czego może doprowadzić miłość nawet człowieka dawniej prawie normalnego. Przyczyną zaś drugą, równie ważną, która powoduje te fatalne konsekwencje, jest jego system nerwowy, bardzo wrażliwy na ciosy i nieszczęścia, jakie nań ciągle spadają bez najmniejszej przyczyny. Do-

noszących na lewym ramieniu cyferki: 138, to niech lepiej nie czytają dalej.

Wszystkim znany jest ostatni okólnik kuratorium w sprawie zachowania się na ulicach i uczęszczania na wieczorki szkolne. Wszyscy przyjęli go spokojnie do wiadomości, tylko Jędrus wpadł w rozpacz. Miał on zwyczaj odprawiać czasami jedną ze swych bardzo licznych kuczek do domu. Ten miły zwyczaj był bardzo pożyteczny dla ucznia klasy VIII, który ma dużo nauki i potrzebuje od czasu do czasu ruchu i świeżego powietrza, a przecież nie ma najmniejszego sensu włączyć się bez celu po ulicach.

Otóż Jędrus przeczytawszy ten okólnik wpadł w czarną melancholię i byłby chyba tragicznie zakończył swą chlubną i błyskotliwą karierę, gdybym, wzruszony głęboko (mam czułe serce, o czym wszyscy dobrze wiedzą), nie „zafundował” mu pączka na dużej pauzie. To przyniosło chwilową ulgę zboliałemu sercu mego przyjaciela, ale, niestety, było to pocieszenie krótkotrwałe, po chwili znów troska ciemną chmurą pokryła jego głupawe oblicze. (Nie bądźcie złośliwi i nie myślcie, że liczył na drugiego pączka. Nie! — upewniam was, że była to rozpacz szczerza i głęboka).

Nieszczęście było zbyt wielkie, aby mógł je pojąć od razu, tym bardziej iż zawsze myślał powoli, przeto trawił swą troskę w milczeniu i pozornym spokoju, jak trawi aligator najadłszy się na trzy miesiące. Tylko że troska trawiła i jego szarpiąc mu duszę, gryząc serce i zatruwała mu ciało. Tylko ja jeden zrozumiałem i pojąłem ogrom nieszczęścia, który go przytłoczył i cisnął, jak tylko cisnąć potrafią lakierki lub zadania matematyczne.

Nieprzytomny z rozpaczyny wrócił do domu. Stan jego był opłakany, już jako zakochany był wariatem, kim więc był teraz? O odrobieniu lekcji mowy być nie mogło. (Prawdę mówiąc i tak by ich nie robił). Stracił apetyt i w domu myśląc, że jest chory, kazano mu się położyć do łóżka.

Lecz tu zaczęła się dopiero prawdziwa męka,



Filar S. S.

tknięty nieszczęściem Jędrus miewa męczące sny i halucynacje, które mu odbierają resztki równowagi duchowej i zatruwają życie.

Opowiem wam jedno z jego licznych nieszczęść, które mu się niedawno przydarzyło. Jest to historia bardzo smutna i do głębi serca wzruszająca, tak że radzę wam, drodzy Czytelnicy, zaopatrzyć się przed czytaniem w świeżą chustkę do nosa okazałych rozmiarów. A gdyby przypadkiem pismo to trafiło do koleżanek,

przy której poprzednie cierpienia były tym, czym jest sardynka przy wielorybie. Opadły go jakieś widziadła i zmory, które obsiadły go (jak mrówki naszego kolegę Tadzia Natorffa na obozie) poczęły dusić.

Widział Jędrus jakieś skały, groty, pieczary — na każdej z nich był napis „pensja X Y”. A u wejścia siedział straszliwy smok ziejący ogniem. Później zobaczył długie i mroczne podziemia Hadesu, gdzie siedziały setki grzeszników, ponosząc straszliwe męki. Lecz najgorsze z nich ponosili ci, którzy byli trzy razy na wieczorkach szkolnych w ciągu jednego roku. Znajdowali się oni w sali tanecznej, muzyka grała, lecz oni próżno usiłowali tańczyć, byli przykuci łańcuchami i wszelkie wysiłki, by się choć ruszyć, były daremne. Dalej ci, którzy chodzili na spacer, musieli wiecznie krążyć wokół domu w kształcie okrągłego cyrku, bez drzwi wejściowych, który nosił napis: „Liceum żeńskie”.

Nagle ktoś zawołał: „Patrzcie, to Andrzej, dla niego też jest tu miejsce”. Prerażony Jędrus począł co sił uciekać, aż nagle potknął się i upadł. Zbudził się obłany zimnym potem, wkrótce zapadł jednak powtórnie w swój straszny sen...

Teraz zobaczył jedną z dobrze sobie znanych ulic Warszawy. Była rozkopana i utworzono z wydobytej ziemi i worków z piaskiem barykadę prawie przez całą szerokość ulicy. Przed nią były zasieki z drutu kolczastego, a na nich napis „Baczność! Wysokie napięcie, nie dotykać!”. Ponad wałem sterczały lufy karabinów maszynowych, obok których kręcili się policjanci w stalowych hełmach, z bagnietami na karabinach. Dalej stały wozy pancerne, a jeszcze dalej widniały karetki Czerwonego Krzyża.

— Rewolucja czy co? — pomyślał Jędrus, gdy nagle spostrzegł, że ludzie mogą przechodzić

swobodnie, pod ścianami domów, a jedynie uczniowie są zatrzymywani. Teraz zrozumiał wszystko, i włosy zjeżyły mu się na głowie.

* * *

Jędrus obudził się, trzeba było iść do szkoły. Odetchnął — więc to był tylko sen. Ubierał się już spokojniejszy. Błady, niewyspany, słaniając się na nogach ruszył do szkoły. Raptem na ulicy „Bezrobotnych” zatrzymał go policjant: „Przejścia nie ma, proszę obejść innymi ulicami”. Ratunku! krzyknął Jędrus, zbladł jeszcze bardziej, zachwiał się na nogach, świat zawirował mu przed oczyma. Na ul. Bezrobotnych mieściła się bowiem pensja pani Apolonii Patyk-Patyczkowskiej. „Więc to prawda”, wyszeptał zbielełymi wargami i zrezygnowany ruszył do szkoły.

Jednak nieszczęście zabiło w nim wszelką roztropność i rozsądek. (A raczej ich nieliczne resztki). Na pytanie z historii o nazwisko wodza Grecji starożytnej odpowiedział bez namysłu — Traugutt, mając na myśli ulicę, którą był kiedyś osobiście zainteresowany. Na religii zamiast wymienić Grzegorza VII wymienił Piusa XI z dziwnym dodatkiem „24”. Zaś na matematyce rozegrała się prawdziwa tragedia. Miał napisać wzór na kwadrat sumy dwóch wyrazów, a napisał: $10 + 122 = 138$ czerwone. Dostał trzy „dwójki” i wrócił do domu, a raczej nie on, lecz jego cień, błady trup.

* * *

Nazajutrz rano przeczytał w gazecie: wczoraj z powodu pęknięcia rury gazowej został wstrzymany na 2 godziny ruch na ul. Bezrobotnych. Odetchnął z ulgą, koszmar minął, lecz trzy dwójki pozostały.

Wszystkiemu winne czułe serce i nerwy.

Ol. Dęb.

SMUTNE PRZYGODY WESOŁYCH OPTYMISTÓW

(Od Howerli do Miłosny).

— Proponowałbym mały spacer na narty, trzeba wykorzystać śnieg — zagadnął mnie jeden z wysoko postawionych dygnitarzy samorządowych.

— Z przyjemnością, lecz kiedy i gdzie? — odparłem. Po długich naradach zdecydowaliśmy jechać do Miłosny w przyszłą środę. (Najgorzej było z terminem, bo w karnawale tak się jest zajęty).

Nadszedł wreszcie ów sławetny dzień, którego długo nie zapomnę, albowiem w dniu tym straciłem resztki zaufania do komisji rewizyjnej S. S. Kto jak kto, ale prezes tak znakomitej

instytucji winien lepiej orientować się w terenie i warunkach śnieżnych.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Jedziemy przeto tramwajem i opowiadamy sobie przeżycia narciarskie, z których każde nadawało by się do konkursu o największą bujdę.

U nas pod Howerlą — zaczyna pierwszy prezes, wiedząc, że w tym roku nie byłem w górach.

— Cóż to wszakże szkodzi? — zaczynam, wzorem pewnego młodego podharcmistra, od Kasprowego.

— Kiedyś zjeżdżał z Kasprowego, wiesz tedy na halę... Prezes wie, że bujam, ale to samo ja

wiem o nim, zaś najważniejsza rzecz, to wzajemne zrozumienie. Za to wszyscy pasażerowie tramwaju słuchają nas z otwartymi gębami, albowiem sprytny prezes zorientowawszy się w mig w składzie audytorium — stada „naiwnych laików”, zaczął opowiadać o swych wycieczkach w Tyrolu.

A trzeba mu przyznać, że nawet ma dar opowiadania i szybkiej kompozycji. Opowiadał więc dalej, jak złamał kijki w Chamonix, jak uciekał przed stadem wilków w Besarabii, jak brał udział w slalomie w St. Moritz, a wreszcie, jak skakał 60 metrów w Planicy. (Zwracać uwagę na doskonałą znajomość geografii).

Właśnie zjeżdżał razem z Bronkiem z Matterhorn, gdy tramwaj dojechał do końca i trzeba było wysiadać. Zaś biedny prezes nie zdążył zakończyć swego czasu stylową krystianię koło jeziora Czterech Kantonów.

Badamy teren: warunki śnieżne, niestety, przedstawiają się opłakanie.

Szosa prowadząca do Miłosny zupełnie czysta, ani odrobiny śniegu, gdyby ją zobaczył jakiś dygnitarz z Zakładów Oczyszczania Miasta, na pewno zzieleniałby z zadróści.

Lecz ja z wrodzonym sobie optymizmem mówię: „Pójdziemy kawałek drogi z nartami na plecach, koło Anina powinien być śnieg, wszak czytałeś o zaspach”.

Prezes mruknął coś, czego lepiej było nie dosłyszeć i zarzuciwszy narty na plecy ruszył rażno naprzód.

Po długim spacerowaniu (to nazywa się „suchą zaprawą”) dotarliśmy zzieleni do lasu.

Zakładamy narty i ruszamy w pogodnym nastroju. Ale tu zaczęła się nowa „karuzela udręczeń”. Śnieg wprawdzie jest, ale tak nas sobie upodobał, że gwałtem się naprasza, abyśmy go zabrali do Miłosny i klei się w okropny sposób do desek.

Zmuszony jestem zdjąć narty i natrzeć je kawałkiem świecy, przezornie zabranym przez prezesa. Jest dziś odwilż, a ja nasmarowałem narty na mróz „uniwersalnym” (to taki smar — co się lepi przy zjeżdżaniu, a ślizga przy podchodzeniu).

W czasie tego przymusowego postoju dyskutowaliśmy z ożywieniem na temat smarowania nart; jest to bowiem sztuka wielka, wielka i trudna, tak że powinna być założona jak najrychlejsza akademicka, poświęcona tej szlachetnej umiejętności.

Nigdzie również nie przejawia się tak dobitnie nasz narodowy charakter, nasze warcholstwo i wybujały indywidualizm, jak przy tej czynności.

Będąc trzy tygodnie na kursie narciarskim, gdzie było 50-ciu uczestników, nie widziałem aby ktoś zrobił to prawidłowo. Każdy to musi zrobić według własnego genialnego pomysłu, który jest wyłączną tajemnicą właściciela, a później kłnie, na czym świat stoi, bo wysmarował na odwilż, a jest 20 stopni mrozu.

Zresztą smarowanie nart jest dobrodziejstwem dla wszystkich początkujących narciarzy, bo jakże można tłumaczyć swe niepowodzenia jak nie sakramentalnym: „A do licha ten smar”.

Wracam jednak do tematu.

Posuwamy się w stronę Miłosnej, a dokładnie do karczmy.

Po drodze zjeżdżamy z różnych mizernych gór, mocno wydeptanych przez pocziwych towarzyszy po fachu.

Dojechalśmy wreszcie do Miłosnej (czytaj do karczmy) i tam urządziliśmy odpoczynek. Wypiliśmy po dwie butelki piwa ciemnego (dozwolonego dla harcerzy) i prezes w drodze powrotnej jeździł zakosami nawet po płaskim.

Wszakże dopiero w drodze do Wesołej zaczęła się prawdziwa gehenna niewiniątek.

Śnieg, zawiany grubą warstwą piasku, przybrał kolor czekoladowy i wcale „nie nosił” (co za ciekawy fenomen przyrodniczy). A na domiar złego chwilami na polu był zupełnie wywiany; nie można było się zupełnie zorientować, gdzie jest śnieg, a gdzie — piasek.

Zjeżdżamy z górki, on z jednej strony, ja — z drugiej, każdy szukał lepszego śniegu.

Ale okazało się, iż z obu stron jest piasek.

Spotkaliśmy się na dole i pyta mnie prezes, jak zjeżdżałem.

— Doskonale! kłamię beczelnie. — Nie bujaj, to nie drużyna, za to ja zjeżdżałem doskonale — odpowiada prezes.

Lecz ja ze stoickim spokojem pytam: „A ty? — Ja? świetnie!”

Teraz ja z kolei zaśmiewam się i odpowiadam: „Nie bujaj, to nie samorząd”. (Później zacząłem „zjeżdżać” i widziałem, jak schodzi).

Lecz wspólna niedola zmusiła nas do zgody, jedziemy ku stacji, a tu śniegu nie ma.

Zdejmujemy deski i po chwili wpadamy w jakiś dół, pełen śniegu. Tak źle i tak niedobrze.

Takie urozmaicenia powtarzały się kilkakrotnie.

A na domiar złego zmyliliśmy drogę.

Wykorzystały to niedaleko idące dzieci, urządzając sobie świetną zabawę. Wskazywały nam drogę kolejno w prawo i lewo, zmuszając nas do nakładania drogi i marszu zakosami.

Wreszcie dostrzegam na polu jakiś słup z drogowskazem. Nakładamy masę drogi, aby doń dotrzeć i czytamy: „Aleja Odrodzenia”, „Aleja marsz. Piłsudskiego”. Rozejrzałem się dokoła, ale ani śladu, słup stoi na szczerym polu. Co znaczy fantazja radnych magistratu Wesołej!

Kierujemy się intuicją harcerzy. Ona nas nie zawiodła: po godzinie dobrnęliśmy do pierwszych zabudowań Wesołej. Nakładamy narty i z „fasonem” jedziemy na stację.

Po drodze spotkaliśmy grupę znajomych narciarzy jadących dopiero w „teren”.

Nic nie pomogły nasze perswazje i błagania, pojechali niepomi na nasze przestrogi sami przekonać się o prawdziwości naszych słów.

Słuszne jest przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie”.

SPORT ZIMOWY W KL. VIII

Reportaż.

Hallo! Hallo! Tu mikrofony sprawozdawcze Polskiego Radia, zainstalowane w klasie VIII Gimnazjum Zamoyskiego, skąd za chwilę transmitować będziemy finałowy mecz rozgrywek naukowych o nagrodę Ministerstwa WR i OP pod nazwą „Matura”. Wystąpią dwie znane drużyny: reprezentacja kl. VIII contra reprezentacji nauk zjednoczonych „Matematyki, fizyki i chemii”, pospolicie zwanej MFIC. Mecz zapowiada się bardzo ciekawie.

Tymczasem na boisku nie widać nic, prócz ludzi czyniących ostatnie przygotowania do tej imprezy.

Dzwonek, który zapewne państwo słyszeli. Na boisko wbiegają nasi pupile, reprezentacja kl. VIII! Gracze cokolwiek zmieszani, poddenerwowani, no, ale, prawda, państwo rozumieją, że przed tak ważnym spotkaniem, prawda, odczuwa się cokolwiek treść. Gracze naradzają się jeszcze... Słuchać jakąś sprzeczkę...

Drugi dzwonek!...

Na boisko wbiega drużyna MFIC... Gracze biegają lekko, na czele biegnie cosinus 2α No, a z daleka, prawda, odznacza się swoją silną budową bramkarz tej drużyny H. SO₄ (dla mniej zaawansowanych w tej dziedzinie nauk nadmieniam, że w języku śmiertelników nazywa się on kwasem siarkowym)... Gracze, jak stąd widać, są w doskonałej formie, czego o naszych pupilach nie można powiedzieć. Owszem... starają się nadrobić minę, prawda, ale jakoś to nie wychodzi... No, zresztą zobaczymy!

Hallo! Gwizdek!... Mecz rozpoczął!...

Piłka toczy się po boisku powoli... Drużyny jakby się obserwowały... Widać teraz jak na dłoni naszych pupilów, na beku stoi wysoki, tęgi Misiek, no, mamy nadzieję, prawda, że niełatwo będzie piłki puszcząć, ale nasz bramkarz wygląda bardzo mizernie w tej wielkiej „budzie”.

Wracamy do piłki... Prowadzi ją w tej chwili znany nasz pomocnik lewego skrzydła „Kosio”... Ale już dobiego go cosinus 2α i atak MFIC-u sunie na naszą bramkę...

Doskonałe ustawienie naszych przeciwników, proszę państwa, w formie położonej na lewy bok dwóli!...

Nasi gracze troszeczkę się zdeorientowali... Ale już odzyskali pewność siebie... Co prawda... piłki nie mogą odebrać...

Daleki strzał... zupełnie niegroźny... Piętach z łatwością go obronił.

Piłka znów jest na środku... Stopuje ją Logarytm... prowadzi powoli, z namysłem... widać, że to gracz wytrawny, stary, co w niejednych rzeczach brał udział...

Śliczna kombinacja!... Podał do Cosinusa!... Cosinus do Pierwiastka!... Atak przeciwnika sunie z błyskawiczną szybkością!... Centro do Logarytmu!... Strzał?!... Nie... zgubił piłkę, ale byłby murowany gol. Co to znaczy jednak szczęście?! Nieprawda?

Wykop!... Piłka na auciel!...

Gwizdek!... Do piłki dobiega Kuc... prowadzi...

Ach! co za nieszczęście! Piłka odbiła się od Zwierciadła (lewy pomocnik przeciwnika)... i już ją doszedł cosinus.

Ci nasi przeciwnicy są bez konkurencji, proszę państwa! Będzie zupełnie dobrze, jeśli będzie wynik remisowy, ale na to się, muszę z przykrością stwierdzić, nie zanosi.

Piłka znajduje się w rękach, pardon, nogach cosinusa... Ten podaje na lewe skrzydło... Kto tam gra? Acha, to Ostrosłup... główkuje... Nagły zryw!... Centro do Logarytmu!... Ten przenosi piłkę nad Miśkiem!... Prowadzi!... Coraz bliżej, bliżej!... Strzał... Gol... W sam rożek, proszę państwa. Taki „amerykański szczur”... Zupełnie nie do obrony.

1:0 dla MFIC-u!... Ostatecznie nie jest tak źle. Centro...

Kuc podaje do Rudi'ego... Rudi do Kosia... Kosio prowadzi... przenosi z nogi na nogę, ale czyni to ogromnie niezgrabnie, dziw, że mu dotąd piłki nie odebrali...

A! do licha!... w złą chwilę wymówiłem... już Zwierciadło odbiło piłkę..., dopędza ją nasz pomocnik, ale nie zdążył wykopać, a zjawił się Pryzmat... wykopał mu spod samych nóg...

Proszę państwa! jakieś czary, czy co?

Piłka zamiast po linii prostej zatrzymuje swój tor i najwyraźniej skręca ku lewemu łącznikowi przeciwnika, Podstawie... Skandal... jawny skandal, proszę państwa!...

Piłkę trzyma cosinus 2α ... Prowadzi... zamieszanie pod naszą bramką?!... Co to jest?

Proszę państwa, to nie do wiary!!!... MFIC gra w 12-kę... W tej chwili cosinus 2α rozdzielił się na sinus² α i cosin² α i właśnie cosinus strzela!?...

Gol!... Zupełnie niepotrzebnie... Taki łatwy... No, ale ten Piętach to nigdy nie miał szczęścia do cosinusów...

Wyłączamy teraz nasze mikrofony... włączymy się pod koniec meczu...

...Hallo! Hallo! znajdujemy się znów na boisku.

Stosunek wyraża się 10:0 dla MFIC-u...

Gracze nasi są zupełnie przybici!... MFIC robia, co im się żywnie podoba!...

W przeciągu 5-u minut 6 goli!... To nie do wiary!...

Piętach broni, jak może!... Śliczne robinsonady, ale to wszystko na nic...

Teraz jest centro... Kuc podaje Jankowi... Jank — Rudiemu... Cudne posunięcie!... Kosio się wysunął... Nie widzi nikogo!... Prowadzi!!!

Prędejj!!! prędejj!!!... Dobiega go Soczewka. Podaj Kucowi!!!... Ach nie, woli sam... Zamierza się do strzału... Staje przed nim Soczewka... Kopie... w obraz!...

To oszukaństwo, proszę państwa!... Przecież z tymi ludźmi wcale grać nie można!... Co chwila jakieś cuda!...

...Ale znów piłka jest w naszych rękach!...

Główkuje Janek do Rudi'ego, ten do Kucy... Biegną szybko... Zamieszanie?!... I gol!! Bra-

wo!! Brawo!!... Rudi leży z bramkarzem w bramie... H_2SO_4 znoszą z boiska...

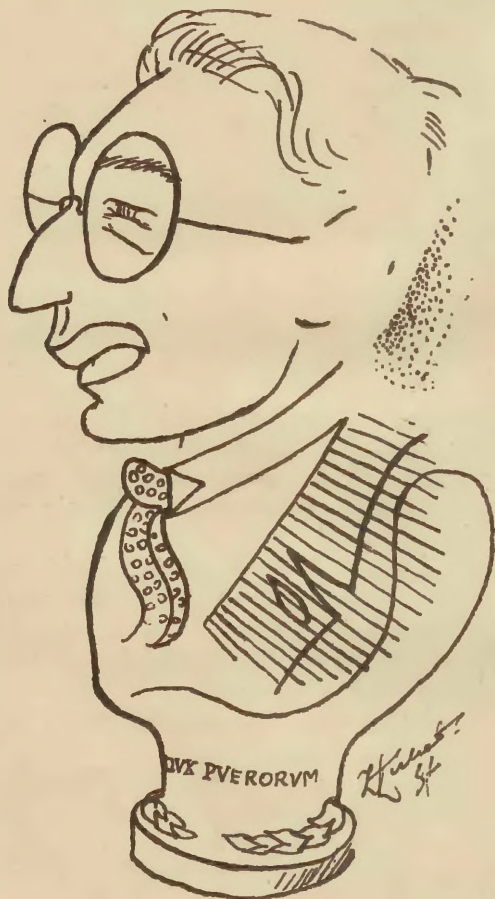
Gwizdek!... Ach koniec! No, trudno, się mówi, gol honorowy jest, a na przyszły rok zrewanżujemy się.

Do widzenia państwu!...

Drol. (VIII).

PECHOWY TRENING

Wylazłem wreszcie na szczyt. Złożyłem deski na zlodowaciałym śniegu i spojrzałem na Goryczkowy. Daleko, nisko, gdzieś całkiem w dole grupka ludzi. To Szkoła Zjazdowa na Kasprowym ćwiczy. Niedaleko mnie stoi Austriak Rehrl z uczniem, starszym panem, ubranym tak po narciarsku, że aż w oczy bije stuprocentowe ceprostwo. Trener tłumaczy mu coś z zapamiętaniem. Słyszę urywki rozmowy: „...was? Christiania?... kenne keine Christiania... schwunger immer mit Koerper... nur der Schwung...”



Filar S. S.

Musiałem dostać się na Pośredni Goryczkowy. Trasa biegu zjazdowego wytyczona tamtędy. Spostrzegłem na granicy Pośredniego dwa małe punkciki, ruszające się szybko po śnieżnej bieli. Bronek Czech trenuje z Bornetówną.

Zdecydowałem się na szus do kotła, potem podejście na Pośredni i zjazd trasą na Szałas. Przypiąłem deski, jeszcze zupełnie nowe i nie-

zniszczone, błyskające politurą, długie i piękne zjazdówki. Byłem z nich strasznie dumny. Nareszcie miałem hickory, deski na całe życie. Spojrzałem ostatni raz na Cichą, hop, hop, hop i jazda... parę sekund i nabrałem szybkości, powietrze bije w twarz, wyciska łyż z oczu... kolana mocno ściśnięte, deski bardzo długie idą równo ułożone, świetnie niosą... pochylam się na czuby, które czasem zatrzepocą po nierówności stoku... ale gaz jest... w głowie jedna jedyna myśl... czy się kropnę i ewentualnie gdzie... chyba najlepiej w samym kotle i w miękkim śniegu... zjechałem... dwa szwungi, tuman śniegowy i stoję, spocony, zmęczony, ale zadowolony. Patrzę na Wierch. Zjeżdża Rehrl. Dość wolno, ale kręci pięknie, płynnie. Każdy śmig wykończony i zgrabny. Od razu poznać mistrza. Za nim jego uczeń. Nogi rozkraczone szeroko, ręce latają jak wiatraki, narciarz chwieje się, pochyla to w tył, to naprzód, by po stu metrach sięść na śniegu, naturalnie spokojnie i ostrożnie i powiedzieć ze zrezygnowanym uśmiechem i westchnieniem ulgi: „Wszystko przez te wiązania... schlechte Bindungen, verstehen Sie?”. Tak, naturalnie, on rozumie. To winne tylko wiązania, nie narciarz.

A hamowanie wiadomą częścią ciała to bezpieczny i niemęczący sposób.

Rehrl dojechał do mnie, zrobił ostatni efektowny śmig i uśmiechnął się, błyskając białymi jak porcelana zębami, odcinającymi się jaskrawo od opalonej na brąz twarzy. „Sie fahren wie ein wildes Schwein”, — powiedział — „viel zu tollkoeppfig”.

Ze jeżdżę „tollkoeppfig”, to wiem, ale dlaczego jak „wildes Schwein”?

Podejście długie, strome i żmudne. Pot spływa mi z twarzy, nogi zmęczone, deski ciężą w nieznośny sposób, wiązania nie nadają się zupełnie do podchodzenia... Uff — jak gorąco. Co parę zakosów krótki odpoczynek, a w głowie jedna uparta myśl: „Jeszcze parę kolejek i będzie w Tatrach wygodnie”.

Wyszedłem prosto na czerwoną chorągiewkę startu. Spojrzałem na stromy, porośnięty kosówką stok i pomyślałem całkiem niewesoło: „50 zakopiańców. Złe. Zaczynało robić się zimno. Słońce uciekało gdzieś za Świński Kocioł, zrywał się wiatr, przenikający chłodnym tchnieniem skafander i swetry.

Zjeżdżałem dość wolno kręcąc ostrożnie pomiędzy kosówkami. Potem wypuściłem małego szusika, parę metrów stromego podjazdu i skok wysoko, twarde lądowanie, siad w śniegu i stała refleksja, która zawsze za późno przychodzi: „A nie jedź na wariata”. Pozbierałem się do kupy i pojechałem dalej szybko po lekko pochylonym stoku. Śnieg szeleścił tylko pod deskami przyjemnym, znanym każdemu narciarzowi skrzypem...

Ostrożnie poruszyłem głową, skrytą głęboko w śniegu, potem kończynami i radośnie stwier-

dziłem, że są całe, że mam śnieg za kołnierzem, w nosie, w szach i włosach. Powoli gramoliłem się ze śnieżnej dziury, w którą wjechałem głową; stanąłem na nogach i zobaczyłem, że brak mi połowy prawej narty... Ze smutkiem spojrzałem na przyczynę mojego nieszczęścia, wysoki na 4 metry próg, stromy, prawie prostopadły i na dziurę, którą wybiłem w śniegu. Wyniosło mnie coś ze 14 metrów...

Smutne to było, ale prawdziwe. Złamałem deskę przy samym wiązaniu. O doklejeniu nie ma mowy... Jutro bieg...
T. J.

»WYJAZD NA POŁÓW«

Żyjemy w epoce, w której obserwujemy uwiad wielkiej poezji na rzecz rozwoju powieści i literatury popularno - naukowej. Trudno tutaj analizować przyczyny, które wpłynęły na ten stan.

Poza kilkoma nazwiskami, które naprawdę reprezentują prawdziwą poezję, niewiele można w Polsce podkreślić godnego uwagi w tej dziedzinie. To też z radością wita się każde nowe wydanie poezji, które zapowiada prawdziwego poety. Przede mną leży w tej chwili tomik poezji Wiesława Strzałkowskiego, który interesuje mnie dlatego właśnie, że poeta ukończył nasze gimnazjum, biorąc czynny udział w redagowaniu „Życia Szkoły”. Tematem zbiorku poezji p. t. „Wyjazd na połów” jest morze polskie. Ono jest głównym źródłem natchnienia poety. Obserwujemy w tych fragmentach wielkie odczucie piękna morza polskiego, które poeta kocha, jako część drogiej mu Ojczyzny. Wyczuwamy w Strzałkowskim silny kontakt z przyrodą, która daje mu bodziec do twórczości poetyckiej. Podchwytuje subtelne barwy i dźwięki morza, jako części natury. Zna jego chwile gniewne i pogodne.

Pewien charakter refleksyjny nadaje poezjom Strzałkowskiego szukanie analogii między życiem i nastrojem przyrody a człowiekiem. Np.:

Podobnie jak to morze i człowiek się zmienia,
Kiedy ból go na przestrzał szponami przeorze,

To się staje tak groźny, jak wzburzone morze
I wydiera z dna duszy, jak kwiaty, wspom-

(„Dziś jest morze koloru szarosrebrnej stali...” str. 12).

Na tle tego opisu przyrody zarysowują się sylwetka poety, smutna, szarpana wewnętrznymi rozterkami. Poeta nie chce się pogodzić z tym, co jest małe w życiu. Widzi jednak zło życia codziennego i to go odsuwa od świata. Przyjacielem, powiernikiem jego jest właśnie morze, wielkie i głębokie w swoim wyrazie.

Opis morza i przeżyć poety z nim związanych wypełnia część I zbiorku p. t. „Droga nad morze”, najbardziej zresztą interesującej. W związku ze swoim tematem złożył poeta hołd Żeromskiemu i Konradowi, jako tymi, którzy umieli pokazać morze nakształt życia ludzkiego, głębokie, pełne tęsknot, smutków i wichrów szalonych.

W utworze znajduje odbłask głęboka religijność poety, wyrażająca się w uwielbieniu dla Matki Bożej i w pięknym odtworzeniu wierzeń Kaszubów.

Poetę cechuje duża bezpośredniość uczuć, wyczuwamy łatwość i płynność wiersza, choć często jest on obciążony reminiscencjami z innych poetów.

J. Schiele (VIII).

ROZBROJENIE MORALNE

Zdawać by się mogło, że idea pacyfizmu jest w praktyce pogrzebana, a przynajmniej odsunięta na jakiś okres czasu. Nie wytrzymała ona próby życia i okazała się mrzonką, piękną wprawdzie, ale tak nierealną, że trzeba się jej wyrzec dla dobra wyższego i bardziej realnego, jakim

jest praca nad tworzeniem potęgi i wielkości Polski.

Hasło konsolidacji sił narodowych stało się nakazem chwili. Wszyscy Polacy rozumieją dobrze, że w tym momencie nie stać nas na pacyfistyczny idealizm, że musimy zrozumieć sytua-

cję międzynarodową i w ogólnym wyścigu zająć miejsce przodujące. Musimy uzbroić się zarówno moralnie, jak i fizycznie. A może o to zbrojenie moralne, o tę postawę zdecydowaną i mocną głównie chodzi.

Dlaczego wszakże wywalam otwarte drzwi, skoro to jest wszystkim dobrze wiadome?

Dlatego, że różni wrogowie, rozumiejąc i doceniając potęgę tej jednolitej postawy bojowej narodu, starają się ją wszelkimi siłami osłabić. Szczególnie zaś często atakują nas — młodzież, by pod pozorami szlachetnych na pozór haseł i zasad zaszczyć fałsz i zakłamanie.

Niedawno sami byliśmy świadkami jednego z takich przejawów tej akcji w naszym piśmie. Oto do redakcji „Życia Szkoły” nadszedł list ze Stanów Zjednoczonych od Towarzystwa Nowej Historii (The New History Society 132 East 65th Street New York, N. Y.), zapraszający nas do wzięcia udziału w międzynarodowym konkursie p. t. Jak narody całego świata mogą zrealizować ideę powszechnego rozbrowienia?

Uśmiechnąłem się nad tym z politowaniem i zamierzałem wrzucić list do kosza, gdy uwagę moją zwróciły prospekty doń dołączone, omawiające cel istnienia tej organizacji. Mogłem sobie teraz wytłumaczyć, czym celem jest ta propaganda, kto ją prowadzi i do czego zmierza?

Oto w jednym z prospektów zatytułowanym: Plan T-wa Nowej Historii, znalazłem, ujęte w 19 punktów, cele tej organizacji. Pozwolę tu sobie podać kilka wyjątków:

Punkt 4d) Powszechna równość płacy.

5) Stworzenie sztandaru i hymnu międzynarodowego, który powinien być uczony we wszystkich szkołach.

6) Stworzenie jednego języka na całym świecie (esperanto).

9) Wolność ludów i zniesienie granic i pojęć narodowości.

11) Stworzenie Biblii powszechnej z pism proroków i różnych filozofów, stworzenie z niej powszechnej religii i nauczania jej we wszystkich szkołach świata.

Ostatni zaś punkt, będący streszczeniem całości, brzmi: Penetracja tej doktryny prawdziwej Braterstwa (przez duże B) Ludzkości. Mamy nie tylko obowiązek nauczać o tym braterstwie, ale powinniśmy je czuć i nim żyć, gdyż to jest synteza całej wiedzy. Realizacja tego Ideału będzie zapowiedzią nowej Ery dla całego świata.

Oto jeszcze jeden wymowny przykład, co się zwykle kryje pod szumnymi frazesami, obliczonymi na naiwność.

Olgiert Dębski.

GDAŃSK A POLSKA

na marginesie książki dr. Henryka Strasburgera

Czasami stosowanie powszechnie potępionej zasady — nie rób tego jutro, co możesz zrobić pojutrze — wychodzi na dobre.

Doświadczyłem tego na własnej skórze, kiedy, zwlekając długo z dokończeniem mego poprzedniego artykułu, zostałem z jego napisania zwolniony.

Niedawno bowiem ukazała się książka dr. Henryka Strasburgera p. t. „Sprawa Gdańska”, wydana przez Klub Społeczno - Polityczny 1937 r.

Otóż jest to jedna z niewielu książek, omawiająca w sposób przystępny, a jednocześnie wyczerpujący sprawę Gdańska w ostatnich dwóch dziesiątkach lat. Słuszna jest bowiem uwaga autora, pomieszczona we wstępie tej książki, że spopularyzowanie sprawy dostępu do morza i Gdyni jest ogromne, natomiast o Gdańsku często się zapomina.

Jestem więc zwolniony od pisania dość długiego artykułu i ograniczam się jedynie do polecenia tej książki.

Autor, wybitny znawca tego zagadnienia, opracował ją w sposób solidny i wyczerpujący, ograniczając jednocześnie wielkość pracy do stu kilkunastu stron. Omówić dokładnie temat, niczego nie pominać, a jednocześnie zawrzeć tak bogatą treść w tak małej objętości — to sztuka nielada.

Dokonał jej autor z powodzeniem, i oto mamy pierwszą popularną pracę o stosunkach z Gdańskiem w okresie Polski Odrodzonej.

Materiał, opracowany wszechstronnie, zawiera między innymi takie rozdziały:

Prawa i interesy polskie w Gdańsku,

Gdańsk a polska polityka morską,

Ustrój wolnego miasta,

Spory i nieporozumienia polsko - gdańskie i polsko - niemieckie.

Z tych względów mogę polecić tę książkę jako doskonałe uzupełnienie niepełnych podręczników szkolnych.



LECH PIOTR KOWALSKI (Ia).

POSAŻEK Z MARMURU

Fragment noweli.

I.

Coraz wyraźniejsze kształty zaczęły się ukazywać pod palcami rzeźbiarza. Andreo kuł młotem, wyczarowując życie z twardego marmuru. Przerwał na chwilę swą pracę i oparł na ręce uznojone czoło.

Wkoło huczała praca; warsztat rzeźbiarski księcia Henryka IV wrzał pracą i życiem. Andreo wstał, rozprostowując zbolale kości i rzucił dłuto, które zadźwięczało jakby mówiło rzeźbiarzowi brzękliwe pożegnanie.

Za oknem jarzył się dzień. Gorące słońce XVIII-go wieku rozpałało wszystko swym żarem. Witraż okna pracowni przedstawiał anioła — blask jego uduchowionej, rozświetlonej twarzy padł na Ferratiego. Rzeźbiarz przeszedł parę kroków dalej i wsparł się na nieszklonym oknie. Wiatr powiał przez nie, rozwiewał bujną kasztanową czuprynę rzeźbiarza i głaskał pieszczotliwie jego smagłą, pociągłą twarz.

Za oknem w dole szumiały drzewa gęstego parku, stok góry zamkowej opadał łagodnie ku pylnej drodze, ciągnącej się pod drzewami. Andreo lubił na nią patrzeć. Półnaczy pasterze zganiłi woły oblepione błotem, bokiem drogi wędrował jakiś podróżny w szarą szatę przybrany. Słychać było porykiwania bydła, świergot ptaków, szum rzeki, toczącej swe ciemne tajemnicze wody pod strażą koron wielkich drzew parkowych. Andreo często tam chodził i siadywał w wilgotnym cieniu nad wodą. Marzył, rojąc jakieś cudne marmurowe postacie, feeryczne twory, stworzone dłutem z promieni jutrenki, to znów wielkie jak góry posągi z brązu i granitu, których cień zakrywałby cały kraj.

Marzył... a woda szumiała, cichutko bulgocząc do wtóru w korzeniach drzew.

Raz poszedł z biegiem rzeki, wyszedł z parku i zawędrował w oczerety w pobliżu wioski. Usiadł na kępie. Zdawało się słychać było naszczekiwanie psów i pianie kogutów, wysoko śpiewały skowronki. Andreo skłonił głowę na ramię, na tle przeczystego lazuru nieba chwiały się sennie żółte oczerety, od czasu do czasu chlupnęła woda — to spłoszone przez bociany żaby uciekały do bezpiecznych kryjówek. Wtem trzciny poruszyły się żywo. Słychać było chłupot wiosła, z żółtej ściany wyłonił się ciemny kształt łódki. Dwóch półnagich wiosłarzy zagarniało wiosłami wodę. Między nimi siedziała dziewczyna. Mimo skromnego ubrania, poznał

w niej Ferrati księżniczkę Biankę. Chociaż urodził się w zamku, nie widział jeszcze księżniczki, stary książę strzegł jej jak oka w głowie. Księżniczka była sierotą, nie miała matki, — może dlatego właśnie bardziej odczuwała ludzki smutek, to też podrośszy robiła wyprawy do chat swych ubogich poddanych, miłosiernie udzielając pomocy. Opowieści krążące na dworze głosiły, że księżniczka jest boska piękna — Andreo jednak nie uznał jej za taką. Księżniczka była szczupłą, niską dziewczyną, jasne włosy spadały grzywką na jej wysokie czoło i skręcały się w loki ponad uszami; prosty nosek i nieregularne usta, niebieskie oczy — wszystko to składało się na powierzchowność dziecinna i nieco lalkowata.

Andreo powstał i oddał niski ukłon. Księżniczka uśmiechnęła się do niego — i łódź zniknęła w oczerecie. Andreo został rozczerwony. Roił w swych heroicznych snach obraz precudnej piękności, smukłej, wysokiej, królewskiej, którą ratował od strasznych smoków i czarowników, a która w nagrodę dawała mu swą rękę i serce.

Więcej się nie widzieli, lecz od tej chwili rzeźbiarz dawał swym świętym i madonnom twarz raz widzianej księżeczki.

II.

Księżniczka wyszła w krużganki. Wiatr gnał nierzeczywiste obłoczki, przeświecone blaskiem księżycy. Księżyc, stary cynik, jakby spoważniał, jego zimne martwe światło zalewało równinę. Zdawało się księżniczce, że słychać zdala surmy wojenne, chrzęst zbroi i mieczów, tupot rycerskich koni. Błade marzenia przepływały z równiny i zapełniały upiornym światłem księżycy dziedziniec pod krużgankami. Oparła rozmarzoną głowę o zimną kolumnę. Drzewa parku szumiały tak spokojnie, tak tajemniczo. Gdzieś w dole słychać było klaskanie słowika.

Księżniczka długo trwała w rozmarzeniu. Chrapliwy dźwięk trąby wyrwał ją z słodkiej zadumy. Westchnęła z żalem. Nie chciała wracać do pustych i ciemnych komnat zamku. Tu było tak dobrze, kroki wartownika na wieży dawały poczucie zupełnego bezpieczeństwa, napawały szczególnym spokojem.

Nieboskłon zaczął się czerwienić. Księżniczka niedorzecznie pomyślała o ranku, — nie, niebo czerwieniło się w zachodniej stronie i zresztą było za wcześnie. Cóż to więc?...

Z INICJATYWY KOŁA B. WYCHOWANKÓW NASZEGO GIMNAZJUM ODBĘDZIE SIĘ DN.

18 KWIETNIA O GODZINIE 11.30 W SALI GIMNAZJALNEJ

KONCERT WITOLDA MAŁCUŻYŃSKIEGO

KRONIKA SZKOLNA



Po półroczu nastąpiły zmiany w składzie osobowym Komitetu Wykonawczego. Do obecnego K. W. wchodzi następujące osoby:

Prezes — kol. Majewski (VII).
Wiceprezes — kol. Sadkowski (IVa).
Skarbnik — kol. Trybowski (VII).
Komisarz łącznikowy — kol. Dębski (VIII).
Sekretarz — kol. Garbiński (IVb).
Wicesekretarz — kol. Welt (IIIa).
Prezes komisji rewizyjnej — kol. Korwin-Piotrowski (VIII).

W myśl uchwały powziętej przez Komitet Wykonawczy biblioteka Samorządu Szkolnego jest obecnie dzielona na poszczególne klasy.

Samorząd Szkolny urządził w dniu 1. 2. rb. akademię ku czci P. Prezydenta.

Obecnie K. W., nawiązując do święta patrona naszej szkoły, które się odbyło na jesieni r. 1935, przystąpił do organizowania obchodu ku pamięci patrona gimnazjum Kanclerza i Hetmana Wielkiego Koronnego Jana Zamoyskiego. Obchód ten odbędzie się na wiosnę.

Pod kierunkiem kol. Kostarskiego (IVb) powstało koło, mające na celu urządzenie przedstawień i obchodów.

Poszczególni członkowie K. W. opracowują zmianę statutu S. S., zmierzającą do zmniejszenia tak dużej maszyny, jaką obecnie jest Samorząd Szkolny.

Zawody strzeleckie dn. 5. III.

Na zaproszenie I Gimn. Miejskiego odbyły się na strzelnicy tegoż Gimnazjum zawody strzeleckie między pięcioosobowymi zespołami.

Reprezentacja I Miejskiego została pokonana z różnicą 22 punktów.

W skład naszej reprezentacji wchodził kole-dzy:

kol. Kowalski-Wierusz (VII),
kol. Zieliński S. (kl. VIII),
kol. Murawski (IIb),
kol. Zieliński A. (VII),
kol. Ejsmond (IVb).

Kierownik „Sekcji Strzeleckiej” J. Ejsmond.

OD REDAKCJI.

Zebrania Redakcji naszego pisma odbywają się w każdą sobotę o godz. 5 po poł. (z wyjątkiem sobót przypadających na abonamentowe przedstawienia teatralne). Na nasze zebrania zapraszamy wszystkich kolegów.

Z PRASY SZKOLNEJ



NASZA MYŚL. Nr. 1, październik, listopad; rok XV.

Pismo to wydawane jest przez uczennice gimnazjum im. Marii Konopnickiej w Warszawie.

Na ogół nie odbiega od szablonu pisma szkolnego. Więc najpierw przemówienie z uroczystości, dalej „Służba pracy”, „Dział Samorządowy”, wspomnienia wakacyjne „społeczniczki”, wywiad z aktorką, wspomnienia z wycieczki do osiedla szkolnego itp. Jeden artykuł mógłby wywołać większe zainteresowanie, ale i burzę protestów, jest nim — „Coś z epoki kamiennej”

pióra kol. Wysznickiej, któremu można postawić wiele rzeczowych zarzutów. W dziale „Wśród pism młodzieży” „zjechało” pewne pismo bardzo surowo. Kol. Bojanowska, autorka tej recenzji, jest bez miłosierdzia, drzę wprost na myśl, co też znalazłaby w naszym piśmie. Zresztą boję się, że choruje (podobnie jak i ja) na megalomanię, stąd, sądzę, że się zrozumiemy.

Na zakończenie powiem jednak: „Widzicie drzazgę w oku brata swego, a nie dostrzegacie belki w oku waszym”.

P. i P.

CENY OGŁOSZEŃ: za tekstem 1/1 str. 70 zł., 1/2 str. 35 zł., 1/4 str. 20 zł., 1/8 str. 10 zł., w tekście o 20% drożej

Redaktor Olgierd Dębski (VIII)

Redaktor odpowiedzialny dr. Juliusz Nowak

Wydawca Samorząd Szkolny uczniów gimnazjum imienia Jana Zamoyskiego w Warszawie

Adres Redakcji i Administracji: Gimn. im. Zamoyskiego, Warszawa, Smolna 30.

Zakł. Druk. F. Wyżyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.